

## Wspomnienia – część IV

### Tadeusz Żółkiewicz – Delegat Kopexu

Szeroka akwizycja prowadzona była przez nas także na rynkach Ameryki Południowej – głównie w Brazylii i w Argentynie. W Brazylii było duże zainteresowanie budową i rozbudową zakładów przeróbki mechanicznej węgla. Zakłady takie istniały na południu kraju, w stanie Santa Catarina, w okolicach Criciumy. Tam też znajduje się duże skupisko Polaków - emigracja jeszcze z czasów po pierwszej wojnie światowej, dużo naszych obywateli znalazło się tam też po drugiej wojnie światowej. Znane w Criciumie były dwa nazwiska: dobrze prosperujący przedsiębiorca Gajdziński, zajmujący się z powodzeniem produkcją kafelek, którymi – ku zadowoleniu mieszkańców miasta – wykafelkował cały miejscowy kościół, oraz drugi Polak, którego nazwisko do dzisiaj szeroko się przewija przez nasze media, prezes znanego stowarzyszenia organizacji polonijnych USOPAŁ. Człowiek ten niedługo tam przebywał i szybko przeniósł się do Paragwaju. Do dzisiaj toczy się u nas dyskusja o czystości jego kariery.

Zwiedzając tamtejsze tereny górnicze zatrzymaliśmy się w jednej z wiosek, gdzie, jak nas informowali nasi gospodarze, mieszkają potomkowie Polaków. Już jednak porozumieć się z nimi w języku polskim nie było można. Jeden z nich pamiętał tylko znaną sentencję: „... roboty duzio, a pieniędzy jak ni było tak ni ma...”. W jednej z tamtejszych kopalń głębinowych próbowano wydobywać węgiel metodą na zawał. Zastosowano zakupioną w jednej z europejskich firm obudowę ścianową i rozpoczęto normalne wybieranie. Niestety, nie było zawału. Mimo dość dużego postępu zawał nie następował. Po wybraniu węgla na długości około czterdziestu metrów, wydobyć wstrzymano. I dobrze, że tak się stało. Po kilku dniach strop na długości tych czterdziestu metrów nagle z wielkim hukiem się zawalił i opadł. Więcej już nikt do tego pokładu nie wchodził.

Dłuższe rozmowy toczyły się w Criciumie, siedzibie dwóch firm Metropolitana i Ararangua. Członkiem Zarządu firmy Metropolitana był pan Aleksandrowicz, przedwojenny pracownik Ambasady Polskiej w Kairze. Teraz zabiegał o powierzenie mu naszego przedstawicielstwa na tym terenie. Był bardzo dobrze zorientowany w miejscowych stosunkach biznesowych, świetnie znał ówczesny rozmach inwestycji górniczych w Polsce i byłby niewątpliwie dobrym naszym agentem na tym terenie. Lecz jak się okazało w toku dalszych rozmów, klienci brazylijscy nie byli w stanie sfinansować takich inwestycji, jakie były przez nich zakładane i jakie były projektowane przez nasze ówczesne biura projektów. W Polsce był to wówczas okres intensywnej rozbudowy górnictwa i cokolwiek robiono w tej dziedzinie, robiono to na dużą skalę. Widocznie nie wszystkim taka gigantomania odpowiadała. Nasi klienci skoncentrowali się na modernizacji i rozbudowie swoich zakładów przeróbki mechanicznej węgla – płuczek węgla, w znacznie mniejszym zakresie. Rozmowy toczyły się w Rio de Janeiro i w Criciumie.

Rio de Janeiro kojarzy się z plażami z białym piaskiem (jest ich ponad trzydzieści, a najdłuższa plaża Copacabana ciągnie się wzdłuż ulicy Avenida Atlantica na długości 4 km), z górą Corcovado (Garbus), na której stoi znany pomnik Chrystusa Odkupiciela, z górą Pão de Açúcar (Głowa Cukru), przy której stoi pomnik Fryderyka Chopina, z karnawalem, z piłką nożną rozgrywaną na stadionie Maracana, z sambą i z favelami. W wolnych chwilach podziwialiśmy te atrakcje i w ramach pogłębionej kontemplacji i przeżywania tego wspaniałego miasta czytaliśmy popularną wówczas książkę *Chłopiec z Rio i dziewczyna z Ipanemy*. Ipanema to była wówczas elegancka dzielnica ambasad i konsulatów obcych państw. Mieszkał tam też ówczesny radca handlowy PRL pan Młyniec. Dobrze zapamiętaliśmy to nazwisko. Otóż pan Młyniec, w dniach rozgrywania mistrzostw świata w piłce nożnej (rok 1974), kiedy rozgrywane były mecze z Brazylią i z Argentyną sprowadził do swojego biura jeszcze nie tak popularny wówczas kolorowy telewizor, abyśmy w pełnej krasie mogli oglądać te wspaniałe, niezapomniane zwycięstwa polskich piłkarzy. Pierwszy mecz z Brazylią nasi piłkarze wygrali 3:2. W drugim dniu też nasza drużyna Górskiego pokonała Argentynę. Jak mówił potem radca Młyniec, z jednego tylko powodu marzył o naszym zwycięstwie nad Argentyną – aby tej wygranej, w dniu następnym, w szkole, gratulowali jego synowi jego brazylijscy szkolni koledzy, osładzając sobie swoją przegraną. A wiadomo było, że tak będzie, bo Brazylijczycy zawsze się cieszyli, gdy Argentyna przegrywała.

Osobnym, niezapomnianym przeżyciem było oglądanie przebiegu tamtejszego karnawału. Niemiłknąca muzyka, niekończąca się samba, wyszukane kreacje i przepiękne, roześmiane dziewczęta. Place, chodniki, ulice, skwery pełne były wesołych, roześmianych ludzi. Dziś może karnawały te są bardziej kolorowe, choć może mniej spontaniczne i naturalne, a bardziej profesjonalne, ale wówczas, dla mieszkańca kraju, gdzie liczne pochody i manifestacje zawsze były *ku czci, ku chwale*, z niesionymi portretami starszych, łysych, brodatych panów, takie spontaniczne,

żywiłowe pochody były znakiem i dowodem, że gdzieś na świecie ludzie mogą być weseli i być może szczęśliwi.

Rio dobrze się oglądało ze szczytów licznych w tym mieście gór. Najwspanialsza panorama przedstawiała się z góry Corcovado. Stojąc u stóp Chrystusa Odkupiciela miało się przed sobą Pão de Açúcar, zatokę i plażę Botafogo oraz tor wyścigowy. Żeby pooglądać inne dzielnice miasta wyjeżdżało się kolejką na górę Santa Teresa. Tam kiedyś rozgrywane były sceny do pięknego filmu *Orfeusz i Eurydyka*. Obok tej góry była góra Santo Antonio. Góra ta w latach sześćdziesiątych została przeniesiona w okolice plaży Flamengo i tam na wydartym morzu terenie zbudowano nowe lotnisko Santos-Dumont. Jadąc w okolice stadionu Maracana można było pooglądać tamtejsze favele, małe domki sklecone z różnych materiałów, oblegające gęsto całe okoliczne wzniesienia, pagórki i parowy. Jadąc samochodem i opuszczając kończącą się miejską ulicę wjechaliśmy za miasto na nieutwardzoną drogę i po pewnym czasie znaleźliśmy się w *pampie* – w miejscu otoczonym z obu stron wysoką, dochodzącą do trzech metrów trawą. Jadąc dalej, w dół, znaleźliśmy się w niewielkiej dolinie otoczonej gęstymi zielonymi zaroślami i dojechaliśmy do niewielkiej osady, składającej się z kilku szałasów ustawionych wokół utwardzonego placu, na którym tliło się małe ognisko. Zobaczyliśmy krzątających się wkoło zupełnie inaczej ubranych ludzi, wyglądających jak nie z tej epoki, kręcące się wokół ptactwo domowe i szczekającego na uwięzi małego pieska. Jedynie grające głośno radio tranzystorowe wskazywało, że jesteśmy w dwudziestym wieku. Zatrzymaliśmy się na chwilę by pooglądać ten inny kraj, szybko ruszyliśmy jednak z powrotem widząc jak nasz samochód zaczynają otaczać miejscowi mieszkańcy. Jak nas potem ostrzegali nasi brazylijscy przyjaciele, dalsze pozostawanie tam mogłoby się bardzo źle dla nas skończyć.

Argentyna stanowiła drugi ważny kraj obsługiwany przez nasz dział HM. Dotychczas, jako pracownik firmy wyjeżdżałem za granicę w zasadzie sam, ewentualnie w towarzystwie specjalistów z biur projektowych lub producentów oferowanych na eksport maszyn i urządzeń górniczych. Tym razem w wyjeździe do Argentyny to ja towarzyszyłem swojemu dyrektorowi naczelnemu. Skala spraw do uzgodnienia i załatwienia wymagała obecności przedstawiciela wyższej rangi niż kierownik działu.

W końcu czerwca 1975 roku, w drodze do Buenos Aires znaleźliśmy się w Paryżu. Dalszy lot wymagał zmiany lotniska. Trochę wolnego czasu wykorzystaliśmy na zwiedzenie miasta. Wieżę Eiffla pooglądaliśmy tylko ze szczytu Łuku Triumfalnego. Ale Paryż chyba obaj już dobrze znaliśmy, chociaż ja tylko z filmów, z przewodników, z lektury wielu przeczytanych książek. Kto wówczas nie czytał „Nędzników” Viktora Hugo i podobnych książek ze szczegółowymi opisami różnych zaułków Paryża? Obaj kończyliśmy szkoły średnie i studia wyższe w okresie kiedy czytelnictwo literatury nie tylko rosyjskiej ale i francuskiej stało w Polsce na bardzo wysokim poziomie. Ale w istocie nie to było powodem, że nie odwiedziliśmy wielu innych, wartych obejrzenia atrakcji tego miasta. Następnym naszym postojem na lotnisku, przed skokiem przez Atlantyk był Dakar. Potem był już tylko spokojny, nocny lot pod rozgwieżdżonym niebem, przez równik, nad Rio de Janeiro, kiedy pilot informował swoich pasażerów, że właśnie przelatujemy nad mocno oświetlonym i dobrze widocznym pomnikiem Chrystusa Odkupiciela. Jeszcze parę lat wcześniej, był taki zwyczaj, że ci pasażerowie, którzy przelatowali równik po raz pierwszy otrzymywali z tej okazji na pokładzie samolotu specjalny certyfikat. My już takiego certyfikatu nie otrzymaliśmy. Rozpoczął się nowy dzień i za chwilę byliśmy już na lotnisku w Buenos Aires, gdzie przywitał nas nasz pracownik Lucjan Morcinek, który już wcześniej tam się znalazł. Po opuszczeniu lotniska czekała nas jeszcze wizyta w biurze Policji celem dokonania formalnej rejestracji pobytu w tym kraju. Rejestracja polegała na pobraniu linii papilarnych ze wszystkich dziesięciu naszych palców. Operacja ta trwała dosyć długo, a w poczekalni, wychodząc, widzieliśmy wielu innych przyjezdnych, czekających na dokonanie tej operacji. Jak nam potem nasi partnerzy wyjaśniali, system ten wprowadzony został w Argentynie już w końcu XIX wieku, a potem pobieranie odcisków linii papilarnych przyjęło się w innych krajach Ameryki Południowej. Być może dlatego, że pionierem we wprowadzeniu i zastosowaniu daktyloskopii do działań kontrolnych i kryminalistycznych był argentyński szef policji Juan Vucetich.

Mój pobyt w Argentynie, jako kierownika działu, ale ze swoim przełożonym, był bardzo pracowity. Ale też była to kolejna okazja do poznania nowych ludzi w ich środowisku, ich kultury, tradycji. Tradycja kultury europejskiej nie jest tam długa, ale oni uważają, że na obszarze Ameryki Południowej to właśnie Argentyna pełni rolę taką, jaką dawniej pełniła Francja czy Hiszpania w Europie – skarbnicy kultury, muzyki, malarstwa i poezji. Wzruszająca była wizyta w tamtejszym Muzeum Ziemi. Narzędzia i urządzenia związane z uprawą ziemi i hodowlą bydła i koni, które w Polsce jeszcze w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych były codziennością, tam pokazywane były z wielką estymą i starannością. Na koniec każdy uczestnik naszej delegacji otrzymał album rycin *La Estancia Vieja*, obrazujących życie pierwszych osadników na argentyńskich sawannach.

Widocznie dobrze się pracowało ze mną mojemu przełożonemu i w drodze powrotnej przez Rio de Janeiro, gdzie zamierzał spędzić parę dni, powiedział, że ja też mam się tam zatrzymać, chociaż mój pobyt nie był tam wcześniej planowany i ja nie posiadałem brazylijskiej wizy. Zgodnie z przewidywaniami, zostałem na lotnisku zatrzymany i nie wpuszczono mnie do miasta. Zacząłem wyjaśniać powstałą sytuację, prosząc o wyjątkowe udzielenie zgody na mój kilkudniowy pobyt z moim przełożonym, z polską delegacją, która przylatuje tutaj celem negocjowania ważnych kontraktów handlowych. Uzasadniałem swoją prośbę tym, że ja tu już wcześniej kilka razy byłem, posiadając brazylijską wizę. Rozmowy się przeciągały, ciągle przesyłano mnie do coraz wyżej postawionych osób. Wreszcie znalazłem się przed urzędnikiem, który pewnie już sam się zorientował, że ja tu nie byłem pierwszy raz i wyraził zgodę na moje przekroczenie granicy. Zapytał tylko, jak długo zamierzam tu zostać i w którym hotelu się zatrzymam, i zaraz zabukował mnie na wylot. Zabrał mój paszport i chowając go do swojego biurka powiedział, ale już w tonie bardziej przyjaznym, że otrzymam go w dniu odlotu, a gdybym się w tym dniu nie zgłosił lub usiłował przedłużyć ten termin, to znajdą mnie i odeślą, tak jak właśnie dzisiaj wysyłają pewnego Europejczyka, wprowadzając go na pokład samolotu w asyście policji i w kajdankach. Podziękowałem mu serdecznie. Rozstaliśmy się już całkiem pokojowo. Dołączyłem do swoich, którzy z niecierpliwością czekali na wynik moich wizowych negocjacji, informując ich, że otrzymałem zgodę na tygodniowy pobyt. Należy tu wyjaśnić, że w Brazylii rolę naszego ówczesnego WOP-u pełniła Marynarka Wojenna, jak się później dowiedziałem, bardzo rygorystyczna w swoim działaniu na odcinku obrony kraju.

Tak więc znowu znalazłem się w Rio, na *Avenida Flamengo*, w hotelu *Paisandu*, gdzie zwykle zatrzymywałem się w czasie swoich poprzednich pobytów w tym mieście. W programie pobytu mojego przełożonego, Dyrektora Naczelnego firmy, były przewidziane rozmowy z firmami, z którymi ja już wcześniej się kontaktowałem w czasie swoich poprzednich pobytów. To ułatwiało i przyspieszało negocjacje. Ale w planie pobytu mojego przełożonego były przewidziane kontakty z kilkoma nowymi klientami. To spowodowało, że przewidziany wcześniej i uzyskany w porcie lotniczym jednodniowy mój pobyt okazał się być za krótki. W związku z tym mój przełożony polecił ten pobyt przedłużyć o dalszy tydzień. Wobec mojego przypomnienia o zastrzeżeniu, jakie usłyszałem na granicy, gdy będę chciał przedłużyć swój pobyt w Brazylii poza termin ustalony w czasie przekraczania granicy, radca handlowy p. Młyniec zobowiązał się pojechać ze mną do odpowiedniego biura Marynarki Wojennej, gdzie spodziewał się, znając tam wielu urzędników, że będzie w stanie uzyskać przedłużenie mojej wizy. Pojechaliśmy tam. Wchodząc do okazałego budynku Marynarki Wojennej, już na schodach przy wejściu radca Młyniec zobaczył znaną sobie osobę i powiedział mi, że z tym urzędnikiem przedłużenie mojej wizy będzie załatwione. Zbliżając się do niego, ja ze swej strony poznałem, że jest to właśnie ten urzędnik, który postawił mi przy przekraczaniu granicy taki niedwuznaczny warunek. On też mnie poznał i zanim radca Młyniec się odezwał, pewnie domyślając się, że przychodzę tutaj celem uzyskania przedłużenia wizy, zażartował czy ja naprawdę chcę wchodzić do samolotu w kajdankach. Oczywiście zaprzeczyłem. Ponieważ obaj ci panowie dobrze się znali, chwilę porozmawiali, radca wyjaśnił, że ma w tym biurze coś do załatwienia i tak się rozstaliśmy. Oczywiście radca nic nie wspomniał o celu naszego przyjazdu. Zrozumiał natychmiast, że jego misja była bez szans. Tak więc wkrótce, w oznaczonym dniu zjawiłem się na lotnisku, otrzymałem mój paszport i lecąc przez Rzym, następnego dnia rano wylądowałem w Warszawie.

W latach po 1975 roku, oprócz normalnej obsługi rynku indyjskiego, następowały liczne wyjazdy akwizycyjne do kilku innych krajów, gdzie spodziewaliśmy się nawiązać współpracę w dziedzinie górnictwa i uzyskać zamówienia na dostawę maszyn i urządzeń górniczych. Były to między innymi:

**Nigeria.** W wyniku nawiązanych w latach siedemdziesiątych bezpośrednich stosunków pomiędzy ministerstwami górnictwa Nigerii i Polski, do Kopexu przyjechała ministerialna delegacja z Nigerii, z zamiarem zawarcia kontraktu na budowę w Nigerii, w rejonie Enugu dwóch głębinowych kopalń węgla. Rozpoczęte na poziomie ministerialnym rozmowy prowadzone były w Kopexie. Ministerstwo Górnictwa z siedzibą w Katowicach wyznaczyło swojego pracownika, który był pełnomocnikiem Kopexu do spraw budowy tych kopalń, zaś całą dokumentację kontraktową (draft kontraktu) przygotował dział HA Kopexu.

**Wietnam.** Wylot do Wietnamu nastąpił jakoś tak nagle w styczniu 1976 roku. Inicjatywa wyszła od Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Strona wietnamska wyraziła zgodę na nasze zapoznanie się z zaleganiem ich zasobów metali ziem rzadkich. Strona polska zaś była zainteresowana importem rud tych metali, czym w przyszłości miał się zajmować Kopex. W skład delegacji weszli specjaliści z tej dziedziny z Politechniki Wrocławskiej, Ministerstwa Handlu Zagranicznego (MHZ), Ministerstwa Górnictwa (MG) oraz przedstawiciel Kopexu i tłumacz. Czterej delegaci z Politechniki Wrocławskiej,

głównie geolodzy, odpowiednio ubrani i wyekwipowani, zachowywali się jak wysokiej klasy wysokogórscy turyści. Zamiast zwyczajowych walizek mieli plecaki. Już samo ich zachowywanie się i wyrażanie wskazywało, że będzie to jedna z bardziej udanych moich służbowych zagranicznych podróży. I wcześniej i potem niewiele miałem tak spokojnych wyjazdów. A w tym wypadku było mi to szczególnie potrzebne – byłem trochę przeziębiony, zmęczony, a ponieważ rzadko odwiedzałem lekarzy, a nawet takie drobne schorzenie, nie poparte L4 zawsze wymagało dłuższej rekonwalescencji. A startowaliśmy z Warszawy w styczniu (rok 1976). Oni to szybko zauważyli i z tej racji otoczyli mnie jakąś szczególną opieką. Chodziłem też dużo po naszych Tatrach, po Beskidach i sam doświadczyłem tej szczególnej sympatii, troski i wzajemnej grupowej życzliwości, jaką bezśstownie otaczali się uczestnicy takiej górskiej eskapady. Pozostali członkowie delegacji, za wyjątkiem przedstawiciela MG, też szybko dostosowali się do tej czwórki. Przejście przez odprawę paszportową i celną – procedury dzisiaj mało znane i stosowane jedynie w specjalnych okolicznościach – nie trwało długo i wkrótce znaleźliśmy się w sali odlotów, czekając na wejście do samolotu. Dopiero po chwili ktoś zauważył, że brak jest jednej osoby, delegata MG. Pewnie stał gdzieś w dłuższej kolejce do odprawy celnej. Po chwili i on do nas dołączył i byliśmy już w komplecie. Sprawa jego tak długiej odprawy celnej wyjaśniła się dopiero po naszym powrocie do kraju. Otóż znaleziono u niego dolary, których wówczas bez specjalnego zezwolenia banku nie można było wywozić. Ponadto waluty tej nawet nie zgłosił do odprawy. To spowodowało poddanie go szczegółowej kontroli, co musiało zająć trochę czasu. Ale najważniejsza kara nastąpiła dopiero po powrocie. Stracił swoje dyrektorskie stanowisko i pracę w MG. W czasie całej tej podróży, nie okazując tego po sobie, był pewnie tym zmartwiony i dlatego nijak nie pasował do tej „turystycznej” atmosfery, jaką stwarzali pozostali członkowie delegacji. Ale o tym wszystkim dowiedzieliśmy się dopiero po powrocie.

Za chwilę wystartowaliśmy lecąc do Berlina, gdzie na dawnym NRD-owskim lotnisku Schonefeld byliśmy zabukowani na lot *Interflugiem* do Hanoi, czterosiłnikowym, śmigłowym samolotem Il-18. Będąc w Berlinie, u naszych „turystów” odezwała się ich turystyczna natura i postanowiliśmy, korzystając z długiej przerwy w podróży, zwiedzić miasto. Wsiadając do metra w podziemiach lotniska szybko znaleźliśmy się w centrum miasta na Aleksander Platz. Pospacerowaliśmy trochę po mieście, nie zbliżając się zbyt do Bramy Brandenburskiej - gdzie w pobliżu znajdowało się przejście graniczne Checkpoint Charlie do Berlina Zachodniego - w obawie o ewentualne indagowanie przez Niemiecką Straż Graniczną. Zwiedziliśmy Muzeum Pergamon, oglądając elementy starożytnych budowli, troskliwie przeniesione z dawnej Persji i Grecji. Zajął to nam sporo czasu i powróciliśmy na lotnisko szykując się do dalszej podróży. Lot był bardzo spokojny. Po drodze były dwa międzylądowania: w Taszkencie i w Dhace, w Bangladeszu. W Taszkencie wszyscy pasażerowie zostali zaprowadzeni do poczekalni i zamknięci w jednej z lotniskowych poczekalni, bez możliwości wychodzenia. Po drugiej stronie zamkniętych, oszklonych drzwi widzieliśmy uzbrojonych w automaty strażników. Po krótkim postoju w Dhace, w Hanoi lądowaliśmy późnym popołudniem, oglądając ostatnie promienie zachodzącego słońca. Było to niecały rok po zakończeniu wojny w tym kraju, która zakończyła się w kwietniu 1975 roku. Widać było jeszcze świeże ślady zniszczeń wojennych, chociaż nijak to się miało do widoku zniszczonej Warszawy kilka lat po zakończeniu wojny, mimo trwającej cały czas odbudowy. Pokazywano nam lej po bombie na dziedzińcu Politechniki, gdzie inne budynki stały nienaruszone oraz ślady pocisków na metalowych elementach mostu, na płynącej przez miasto rzece Czerwonej. Miasto nie ucierpiało, most nie został zniszczony. Ale my skądinąd wiedzieliśmy, że tragedia tego kraju polegała nie tyle na zniszczeniach materialnych ile na cierpieniach ludzi, odniesionych w czasie tej totalitarnej wojny, w której wykorzystywano znacznie rozwinięte po drugiej wojnie światowej narzędzia i techniki zabijania. Bo to nie była wojna Wietnamu z Ameryką, to w istocie była wojna USA z rodzącym się we współczesnym świecie nowym systemem totalitarnym, za którym stał Związek Radziecki i Chińska Republika Ludowa. Wojna trwała blisko dziesięć lat. Zginęło w niej ponad dwa miliony ludzi, w tym około sześćdziesiąt tysięcy amerykańskich marines. Niestety Wietnamczyków było to, że ta najkrwawsza po 1945 roku wojna przebiegała na terenie ich kraju. Ze strony Wietnamu była to wojna partyzancka, nad czym Amerykanie nie byli w stanie zapanować. Być może dlatego pojawiły się nowe, mordercze środki walki – napalm i czynnik pomarańczowy (Agent Orange), które na masową skalę zastosowano nie po raz pierwszy w Wietnamie. Czynnik pomarańczowy skutecznie niszczył roślinność – głównie uprawy ryżowe i ogrodnictwo, powodując niedożywienie i głód ludności cywilnej. I teraz, tyle już miesięcy po zakończeniu wojny, chodząc po mieście nie widzieliśmy sklepów żywnościowych. Spotykaliśmy jedynie uliczne stragany z niewielką ilością sprzedawanych produktów rolnych. Ulice pełne były mieszkańców, głównie pieszych i rowerzystów. Z rzadka przejeżdżały samochody. Jak nam mówili gospodarze, ludzie, po tak długim okresie wyrzeczeń stopniowo wchodzili w normalne życie.

Naszym celem jednak nie było Hanoi. W programie mieliśmy wyjazd do odległego Lao Cai, miasta leżącego w pobliżu granicy chińskiej, tam, gdzie znajdowały się interesujące nas złoża. Podróż tę,

która trwała dwa dni, odbyliśmy samochodami typu willis. Dobre drogi skończyły się niedługo po wyjeździe z miasta. Dalej droga przebiegała po górzystym terenie, w pewnym miejscu przekraczaliśmy nawet przełęcz na wysokości ponad dwóch tysięcy pięciuset metrów. Zatrzymaliśmy się w Lao Cai, w hotelu, w którym jeszcze niedawno mieszkali Polacy, członkowie Komisji Rozjemczej. Dobrze widocznie zapisali się tam nasi rodacy, przyjęto nas tam bardzo gościnnie. Wszyscy zostaliśmy zaproszeni przez władze miasta na uroczystość noworoczną, zakończoną uroczystą kolacją. Stół był obficie zastawiony wyśmienicie przygotowanymi produktami wietnamskiej kuchni i przygotowanymi do spożywania pałeczkami. Mieliśmy więc i my okazję do nauki posługiwania się nimi. Wśród licznych noworocznych toastów, a korzystaliśmy z pomocy naszego tłumacza, obficie podlewanych miejscowymi dobrymi napojami, spożyliśmy miejscowe specjały, wśród których nie zauważyliśmy jak smakowicie były przyrządzone dania z naszych miłych czworonogów. Orowadzani po mieście przez gospodarzy, bardzo często widzieliśmy jak były one przewożone, w bardzo ciasnych kagańcach, uwiązane na rowerowych bagażnikach. Rynek miejscowych produktów był znacznie lepiej zaopatrzony niż ten w Hanoi. Tu nie było widać śladów niedawnej wojny. Bardzo dużo produktów, wiele nieznanymi w Polsce, rozłożonych na ziemi czekało na licznych kupujących. Sprzedające je kobiety uśmiechały się, pokazując swoje na czarno pomalowane zęby. Jak żartobliwie wyjaśniali orowadzający, „to przecież tylko psi mają białe zęby”. Przeważały jednak młode, ładne Wietnamki – wszystkie pokazujące w uśmiechu ładne białe uzębienie.

Po dotarciu w okolice występujących złóż zamieszkaliśmy całkiem blisko granicy chińskiej, w kilku altankach położonych nad niewielkim górskim strumykiem. Płynąca czysta woda była zbyt zimna by się wykapać, ale doskonale nadawała się na poranną orzeźwiającą toaletę. Wprawdzie jest to teren poniżej Zwrotnika Raka, niemniej jednak przy większej wilgotności w styczniu jest tam zimno.

Po powrocie do Hanoi postanowiliśmy wracać do kraju przez Pekin. Wykupiliśmy więc bilety kolejowe i rozpoczęliśmy dwu i pół dniową podróż pociągiem. W pociągu umilaliśmy sobie czas delektując się wspaniałymi daniami wietnamsko-chińskiej kuchni oraz grą w brydża. Niestety, mogła grać tylko jedna czwórka. Drugiej czwórki nie udało się skompletować. Przedstawiciel MG nie był skłonny do włączenia się do gry. Do granicy chińskiej był to pociąg wietnamski; tory trochę węższe, wagony nieco mniejsze – tak, że aby wyjrzeć przez okno trzeba się było nieco pochylić. Potem przesiedliśmy się do wagonów chińskich, na szerszych torach, znacznie większych i bardziej przestronnych. W Pekinie, czekając na wolne miejsca w lecącym do Warszawy samolocie, a trwało to cztery dni, zwiedziliśmy Wielki Mur Chiński oraz Dolinę Dynastii Ming. Zwiedzając w mieście różne muzea można było natrafić na wiele zabytków zniszczonych w czasie rewolucji kulturalnej, w okresie panowania Mao Zedonga (wówczas znany w Polsce był jako Mao Tse Tung). Rewolucja kulturalna oficjalnie skończyła się parę lat wcześniej, ale faktycznie Hunwejbini albo Czerwona Gwardia jeszcze istnieli i działali. Nie wszystkie obiekty muzealne i zabytkowe można było wówczas zwiedzać. Między innymi ze względu na nieusunięte jeszcze zniszczenia dokonane przez Hunwejbiniów. Próbowaliśmy się zbliżyć do Pałacu Letniego idąc po grubym lodzie. Pałac Letni został zbudowany na środku dużego jeziora i można się było zbliżyć do niego idąc po grubej zamrożonej tafli. Było tam też dużo innych turystów i mieszkańców miasta, którzy także licznie próbowali bliżej poznać ten obiekt. Nie było obawy załamania się lodu. Było zbyt zimno – około 18°C poniżej zera. Niemniej jednak paręset metrów przed Pałacem, obawiając się pęknięcia lodu, ludzie się zatrzymywali i wracali.

W tym czasie obcokrajowcy chodząc po mieście cały czas byli obserwowani przez miejscowych funkcjonariuszy znajdujących się na wieżach obserwacyjnych ulokowanych na skrzyżowaniach ulic. Ulice pełne były pieszych i rowerzystów. Prawie wszyscy Chińczycy byli ubrani w ciemnoniebieskie ubrania, kobiety i mężczyźni, co nadawało ulicy jednolity, granatowy kolor. Bardzo mało samochodów. Zakupy obcokrajowcy, nie tylko Polacy, dokonywali w dużym, wielopiętrowym domu towarowym. Wychodząc z zakupami z jednego piętra, zostawiało się je na korytarzu przy windzie i jechało się na następne poziomy, przy każdym wyjściu zostawiając kolejne swoje zakupy. Po zakończeniu zakupów, schodząc zabierało się swój nabytek. Tam podobno nigdy nic nikomu nie zginęło. Pekinską atrakcją dla obcokrajowców były niewielkie bary, gdzie podawano smaczne chińskie pierożki, z bardzo urozmaiconymi nadzieniami, jakich nie spotykało się w Polsce.

Pekin znajduje się na tej samej szerokości geograficznej co Neapol, niemniej jednak w zimie jest tam znacznie zimniej, chociaż nie odczuwa się tego tak bardzo, gdyż wilgotność jest znacznie niższa. Po prostu powietrze jest bardzo suche, co powoduje wytwarzanie się elektryczności statycznej. Odczuwa się to podając ręce przy powitaniu, gdy z naelektryzowanej ręki, poprzez palce przeskakują iskry elektryczne, powodując nieprzyjemne, drażniące ukłucia. To samo często występowało przy zbliżaniu ręki do klamki przy otwieraniu drzwi. Rodziło to komiczne sytuacje, doświadczali tego zwłaszcza przyjeżdżający do Pekinu po raz pierwszy.

Delegacja wróciła do kraju z dokonanym rozeznaniem zasobów złóż w takim zakresie, na jaki pozwalały ówczesne władze Wietnamu, ale dalszej aktywności w eksploatacji ze strony polskiej nie było. Widocznie nie było odpowiedniej decyzji politycznej, a swoboda przepływu kapitału jeszcze w Polsce nie była znana.

**Australia.** Wrzesień 1978, udział w targach przemysłowych w Sydney i w maju następnego roku, po odbytej w Polsce Polsko-Australijskiej sesji Komisji Mieszanej – wyjazd akwizycyjny z ofertą usług specjalistów i dostawy maszyn, urządzeń i sprzętu górniczego.

Podstawowym zadaniem było rozeznanie możliwości sprzedaży na ten rynek obudowy ścianowej, szeroko stosowanej w Europie w głębinowej eksploatacji węgla kamiennego. Mój wyjazd był już trzecim wyjazdem akwizycyjnym na ten rynek. Przede mną były tam dwie inne delegacje. Odczułem to już na miejscu w bardzo specyficzny sposób. Otóż, wylatując w godzinach rannych z Okęcia, z niewielkimi oczekiwaniami tylko na krótkie przesiadki we Frankfurcie, w Bangkoku i w Melbourne, po przylocie następnego dnia rano do Sydney, zostałem odebrany na lotnisku przez pracownika BRH i około godziny dziesiątej znalazłem się w Biurze BRH. Tam po przedstawieniu swoich planów i spodziewanego programu rozmów z określonymi rozmówcami, poprosiłem o ułatwienie mi nawiązania kontaktów. Zaraz też ten pracownik zadzwonił do pierwszej z tych firm, ale zamiast ustalić omawiane przed chwilą spotkanie, oddał mi słuchawkę telefoniczną, prosząc o prowadzenie dalszej rozmowy. Tak więc pierwsze spotkanie, w którym on także uczestniczył, zostało ustalone. Potem odbyło się wiele innych interesujących spotkań i rozmów. Był to zupełnie inny świat, jeśli chodzi o organizację wydobywania węgla kamiennego. Przede wszystkim węgiel wydobywa się tutaj głównie metodą odkrywkową. Niewielka część węgla była wydobywana z kopalń głębinowych lub upadowych. Nie było więc specjalnego zainteresowania urzędami do podziemnej eksploatacji. Próby dwóch znanych w Europie firm produkujących obudowy ścianowe nie okazały się sukcesem. Ze złożonej oferty na wiele urzędów górniczych zainteresowanie wzbudziły tylko niektóre pozycje. W Polsce pierwszy węgiel, wydobywany metodą odkrywkową popłynął dopiero w końcu 1980 roku. Tak więc w tej dziedzinie nie mieliśmy jeszcze nic do zaoferowania.

Po kilku dniach, gdy już trochę lepiej poznaliśmy się z tym pracownikiem BRH, wyjaśnił mi dlaczego w pierwszym dniu mojego pobytu, w czasie ustalania programu pobytu i rozmów z australijskimi partnerami nie zrobił tego sam tylko mnie oddał słuchawkę. Otóż robił to przy okazji pobytu poprzednich dwóch delegacji górniczych, ale jak się potem okazało, w czasie rozmów, które miały później miejsce, musiał być także tłumaczem tych delegatów, ze względu na ich słabą znajomość języka angielskiego. Jak powiadał, Australijczyk nie rozumie tego, że ktoś przylatujący tutaj w sprawach wymiany handlowej może nie znać tego języka. Powiadał też, jak odbierając na tym samym lotnisku poprzednią dyrektorską delegację, oglądał ich w czasie odprawy celnej, kiedy z ich walizek łądowały w koszu dorodne pęta kiełbasy myśliwskiej. Niestety, ci delegaci zlekceważyli obowiązujący tutaj zakaz przywożenia jakichkolwiek wyrobów mięsnych.

W ramach prezentacji oferty Kopexu było wiele wizyt, przeprowadzono wiele rozmów. Zaskakiwało żywiołowe i bezpośrednie przyjmowanie mnie w wielu przedsiębiorstwach i instytucjach zainteresowanych tym co się w Polsce produkuje, jakie są osiągnięcia w wydobywaniu węgla. W tym czasie w naszym kraju wydobywanie węgla było bardzo wysokie i ciągle rosło. W roku 1980 osiągnęło 160 mln ton. Nawiązane zostały bliskie osobiste kontakty. Tworzyło to wrażenie kraju bliskiego, uprzejmego, serdecznego, żywo zainteresowanego współpracą w dziedzinie górnictwa. W BRH odebrano to jako szansę na utworzenie w Australii delegatury do stałej promocji i akwizycji polskiego górnictwa. Radca handlowy zapowiedział wystąpienie do Ministerstwa Handlu Zagranicznego o wyrażenie zgody. Jak się po powrocie do Kopexu dowiedziałem, wystąpienie takie miało miejsce, Kopex wysłał personalną propozycję, która jednakże nie została przez BRH w Australii zaakceptowana. Widocznie mieli wątpliwości czy znajdująca się na tej liście osoba zna język angielski. Moje nazwisko na tej liście się jednak nie znalazło.

W natłoku tych ze wszech miar interesujących rozmów i niewielu dni jakie tam miałem do dyspozycji, nie było wiele czasu na zwiedzanie kontynentu, kraju, czy nawet samego miasta. Byłem jedynie zaproszony przez zapoznaną rodzinę tegoż pracownika BRH na weekendowy piknik, który odbywał się w pobliskim parku, w specjalnie przygotowanych do tego miejscach. Po przyjeździe do tego miejsca trzeba było trochę poczekać na zwolnienie grillowiska przez innych użytkowników i dopiero potem zająć się grillowaniem przywiezionych przez siebie produktów. Trzeba było tylko rozpałcić ognisko. Gotowe drewno opałowe leżało obok. Było tam wiele takich grillujących, niektórzy spotykali swoich znajomych, wymieniali między sobą pozdrowienia, wiadomości i swoje opinie na różne tematy. Po skonsumowaniu tak przygotowanego smacznego posiłku trzeba było wszystko po sobie posprzątać i zostawić to miejsce w takim stanie w jakim się je zastało. Inni uczestnicy już czekali na swoją kolejkę. Było to dla mnie wielce relaksujące i pouczające spotkanie.

**Filipiny.** Październik 1979, wyjazd zasugerowany przez BRH wobec planów władz filipińskich dotyczących rozwoju górnictwa węglowego. W delegacji uczestniczył także przedstawiciel z GBSiPG.

**Japonia.** Styczeń-luty 1981. Wyjazd akwizycyjny, promocja i reklama produkowanych w Polsce maszyn i urządzeń górniczych, sprzętu ochronnego. Japonia była wówczas także zainteresowana udziałem w rozwoju górnictwa pakistańskiego - Project Lakhra, który Kopex negocjował z Voest Alpine, Austria. Negocjowany był wspólny udział w rozbudowie górnictwa pakistańskiego. Niestety, zapowiadane początkowo finansowanie przez Austriaków tej rozbudowy nie doszło do skutku.

**Sierra Leone.** Maj 1989. Wyjazd na zaproszenie tamtejszych władz wraz z dyrektorem handlowym M.M. Uczestniczenie w FORUM Przemysłowym. Prowadzono rozmowy z kilkoma miejscowymi przedsiębiorcami. Wymagane było wówczas także finansowanie takich przedsięwzięć. Wówczas polscy przedsiębiorcy nie mieli jeszcze takich możliwości.

**Zair.** Styczeń 1990. Wyjazd z inicjatywy Biura Radcy Handlowego (BRH) w Kinszasie i wobec zainteresowania przemysłu miedziowego w Polsce importem odpadowej rudy miedzi, której huty miedzi w Zairze, ze względu na niską zawartość miedzi nie wykorzystywały, mając dostatecznie dużo rudy o znacznie wyższej zawartości tego metalu. Procentowa zawartość miedzi w tej odpadowej rudzie miała być większa od tej, dostępnej w polskich kopalniach rudy miedzi. W rudzie tej, oprócz wielu innych cennych metali, w stosunkowo dużych ilościach występował selen, w wydobyciu którego przemysł polski był żywo zainteresowany. Taka ruda miedzi była interesującym towarem dla polskiej huty miedzi w Lubinie. Ponadto były tam też inne zakłady produkcyjne, które po wyjściu belgijskich kolonizatorów zostały znacznie zaniedbane, ale nadal były utrzymywane w stanie nadającym się do uruchomienia, stwarzając pewne możliwości uzyskania znacznych dochodów. Poruszaliśmy się tam samochodami, a także małą awionetką, wizytując kopalnie węgla, w poszukiwaniu zainteresowania naszym sprzętem górniczym. W pewnej chwili, w okolicach Kolwezi, nasz przewodnik poinformował nas, że właśnie przelatujemy nad nieczynną już kopalnią rudy uranu, który posłużył do produkcji bomby zrzuconej na Hiroszimę. Przejeżdżaliśmy też obok nieczynnych już zakładów przemysłowych, z których jeszcze pozostały z daleka widoczne wielopiętrowe rdzewiejące konstrukcje stalowe – rdzewiejące miasteczka-fabryki, otaczane i zarastane bujnie rozwijającą się tropikalną roślinnością. W elektrowni wodnej, składającej się z kilku generatorów, czynny był tylko jeden generator. Nie było zapotrzebowania na energię elektryczną. W składzie naszej delegacji był przedstawiciel przemysłu piwowarskiego, zwiedzaliśmy więc także browary, w których produkcja została wstrzymana, ale nadal były gotowe do podjęcia produkcji piwa. Wszystkie te operacje wiązały się z koniecznością zaangażowania własnego kapitału, a ewentualne osiągnięte zyski można było uzyskiwać eksportując wyprodukowany towar. Transfer osiągniętych zysków za granicę był wówczas obłożony szczegółowymi przepisami, które praktycznie uniemożliwiały dokonywanie takich operacji. To między innymi było powodem ucieczki kapitału belgijskiego.

Ale celem Ambasady PRL i BRH było nie tylko zachęcenie nas do zakupu tej odpadowej rudy miedzi, ale zaangażowanie się kapitałowo w samodzielną eksploatację rudy miedzi. Stąd pracownik BRH zaaranżował wiele naszych spotkań z miejscowymi przedsiębiorcami (m.in. GECAMINES Int., Zairete) oraz wizyty w kopalniach w Luenie, Kolwezi i Manono. Zairsy przedsiębiorcy, właściciele kopalń, właściciele ogromnych terenów, kryjących w sobie potencjalne bogactwa naturalne, czekali na przyszłych partnerów, gotowych zainwestować swoje kapitały. Polska jeszcze w owym czasie nie była gotowa do takiej działalności, a ponadto fakt, że Belgowie się stamtąd wycofali, świadczył, że to nie był dla nas dobry czas na zagraniczne inwestycje w Zairze.

Sam wylot do Zairu – a naszym miejscem docelowym było Lubumbashi – odbył się z międzylądowaniem w Londynie i w Luandzie. Dalszy lot do Lubumbashi miał się odbyć awionetką, pilotowaną przez przebywającego tam Polaka. Nasza delegacja składała się z czterech osób. Lecąc tam, już na lotnisku w Londynie potraktowano nas trochę podejrzanie. Przy odprawie paszportowej zapytano mnie wprost czy nie chciałbym zostać w Anglii. Zapewniano mnie, że bez trudności zostaną załatwione wszystkie formalności z tym związane. Potem wszystkich nas zaprowadzono do odrębnego pokoju, gdzie mieliśmy czekać na samolot odlatujący do Luandy. Kilka razy odwiedzał nas ten sam urzędnik, który nas tam zaprowadził, jakby sprawdzał czy jesteśmy w komplecie. Wydawało się to trochę dziwne. Wiele podróżując w tamtych czasach, nigdy, na żadnym lotnisku, nic takiego mnie nie spotkało. Być może było to pokłosie rutynowej kontroli władz angielskich, obserwujących ruch z krajów byłych demokracji ludowych do ciągle wyzwolającej się Angoli. Angola uzyskała niepodległość, wyzwalając się spod panowania portugalskiego po wieloletnich walkach partyzanckich



w 1975 roku. Ale nadal trwały walki pomiędzy frakcjami popieranymi przez ZSSR (ZSSR formalnie upadł 25 grudnia 1991 roku) i z drugiej strony przez RPA i Stany Zjednoczone. Dopiero w 1991 roku obie te frakcje zgodziły się na utworzenie dwupartyjnego rządu, co jednakże nie zakończyło nieporozumień i walk pomiędzy tymi ugrupowaniami.

Po wylądowaniu na lotnisku w Luandzie, które w niczym nie przypominało jakiegokolwiek europejskiego lotniska, gdzie zgodnie z naszymi biletami lotniczymi zakończyliśmy naszą podróż, my ciągle pozostawaliśmy na lotnisku, oczekując na przylot zapowiadanej jeszcze przed naszym wylotem z kraju awionetki z Zairu, z Lubumbashi. Tymczasem nikt nie przylatywał i nie mieliśmy żadnej wiadomości o jakiegokolwiek zmianie sytuacji. Różni ludzie z obsługi lotniska, którzy nic nie wiedzieli o naszych dalszych planach, ciągle proponowali nam transport do miasta i korzystne zakwaterowanie w dobrych hotelach. Ta nadmierna troska obsługi lotniska zaczynała już być irytująca. Zbliżał się już wieczór, a my ciągle nie ruszaliśmy się z lotniska. Na terenie lotniska, po którym mogłem się swobodnie poruszać, przez długi czas nie spotkałem żadnego Europejczyka, z którym mógłbym porozmawiać o naszej sytuacji. Dopiero wieczorem spotkałem w lotniskowym barze europejskiego pilota, który, jak się okazało, przed chwilą wylądował małym samolotem lecąc od strony Lubumbashi i który powiedział, że przez to miasto przechodziła duża ulewa, jaka jego zdaniem mogła spowodować to opóźnienie przylotu naszej awionetki. Odetchnęliśmy z ulgą. Czekać nadal, mieliśmy już pewność, że nasz przewoźnik niedługo się pojawi. I rzeczywiście, późnym wieczorem przywitał nas inny pilot, mówiący najczystszą polszczyzną - a był to równocześnie nasz późniejszy opiekun i przewodnik. Za chwilę znaleźliśmy się w Lubumbashi. Po rozeznaniu, delegacja nie dokonała żadnych wiążących ustaleń. Ani przedstawiciel KGHM-u, ani ten reprezentujący przemysł piwowarski, nie byli zainteresowani kontynuowaniem rozpoczętych rozmów. Głównie z powodu niejasnych przepisów celnych i podatkowych tego kraju. Generalnie przepisy celno-finansowe były tak ustawiane, by największą korzyść z obrotu handlowego odniósł skarb tego państwa.

Ale jeśli chodzi o KGHM, to nie był to koniec rozmów. Pod koniec 1995 roku KGHM odwiedził szef zairkiego koncernu metalowego Gecamines. Zaprosił szefów lubińskiego kombinatu do Konga. Zaproszona delegacja KGHM-u poleciała tam razem z delegacją rządową na początku następnego roku. KGHM rozmawiał o możliwości przeróbki rud miedzi, złota, kobaltu, cyny i diamentów. Kilka miesięcy później otrzymał ofertę eksploatacji złoża miedzi i kobaltu. Oferta pochodziła od firmy z Brytyjskich Wysp Dziewiczych i zakładała, że lubiński kombinat miałby wykonywać na jej zlecenie usługi wydobywcze. Firma ta posiadała prawa eksploatacji złoża i sprzedała je lubińskiemu kombinatowi. Miała to być pierwsza inwestycja tego kombinatu w Afryce. W ukazującej się w tamtych dniach „Rzeczpospolitej” można było wyczytać, że kosztowało to KGHM 10 mln dol. W okresie późniejszym z wiadomości prasowych można się było dowiedzieć tylko o dalszych milionowych kosztach tej inwestycji. Nic o zyskach. Sprawa toczyła się jeszcze przez kilka następnych lat i skończyła się umorzeniem, chociaż nie zadowoliło to wielu interesujących się tym tematem i oczekujących rzetelnego rozliczenia tej kosztownej zagranicznej inwestycji.

Podobną propozycję ten nasz zairski przewodnik po miedziowym rynku tego kraju składał i naszej delegacji. Zaprowadził nas nawet do jednego z zairskich właścicieli złoża. Ale tam też było oczekiwanie na zaangażowanie kapitału zagranicznego. Kopex jednak w owym czasie nie był zainteresowany takimi operacjami, zaś wchodzący w skład delegacji przedstawiciel KGHM-u nie czuł się widocznie na siłach by podejmować takie decyzje.

**Kuwejt.** Marzec 1990. Udział w wystawie i targach przemysłowych. To był jeden z najbardziej pouczających wyjazdów zagranicznych. Wyjazd ten miał miejsce już po przemianach ustrojowych w naszym kraju i był próbą szerszego wychodzenia na rynki zagraniczne i próbą mierzenia się z panującą na świecie w przemyśle górniczym konkurencją. Kopex zdecydował się wziąć udział w tamtejszej wystawie, prezentując nasze osiągnięcia w górnictwie węgla kamiennego, gdyż rzeczywiście w owym czasie jeszcze nasz przemysł górniczy i wydobywanie węgla stały na przyzwoitym poziomie. Wydobywanie węgla kamiennego w roku 1990 przekraczało 140 mln ton. Rodziło to niekiedy zaskakujące skojarzenia, odzwierciedlające jednak stan naszego górnictwa. Jeden z wysoko postawionych gości zagranicznych, pytając w czasie obrad Podkomitetu Górniczego o ilość wypadków śmiertelnych w polskim górnictwie, był mocno zaskoczony, gdy usłyszał, że wypadków takich jest niewiele, nie więcej niż jeden wypadek na milion ton wydobytego węgla. Jednak wydawało mu się to bardzo dużo. W rzeczywistości wypadkowość w górnictwie w Polsce nie była w tym czasie aż taka duża. W czasie podsumowującego spotkania przedstawiciel Kuwejckiej Izby Handlu Zagranicznego powiedział, że kraje, które po czterdziestu siedmiu latach sterowanej gospodarki socjalistycznej, przechodząc dzisiaj do nowego systemu gospodarowania, będą potrzebowały równie długiego okresu przystosowywania się do nowej rzeczywistości i zdobywania nowych rynków. Indagowany w tych sprawach przedstawiciel znanej firmy Ernst & Young powiedział, że te nowe kraje wchodzące na te



rynki, zanim zdobędą zaufanie i uznanie będą poddawane dodatkowym restrykcjom, znacznie większym w porównaniu do krajów zachodnich.

**Chile.** Z wyborem na prezydenta Chile we wrześniu 1970 roku Salvadora Allende, zmieniło się nastawienie do krajów naszego obozu. Latem 1972 roku gościliśmy w Kopexie wieloosobową delegację przemysłowców z tego kraju celem zapoznania się z naszymi osiągnięciami w dziedzinie górnictwa węglowego i zakontraktowania urządzeń. Rozmowy trwały wiele dni, negocjowano i parafowano dziewięć różnych kontraktów. Było to duże wydarzenie w dziale HM i w Kopeksie. Przyszłość zapowiadała się obiecująco. Delegacja chilijska wyjechała bardzo zadowolona. Czekaliśmy na zatwierdzenie kontraktów i na związane z tym zamówienia. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. We wrześniu 1973 roku w kraju nastąpił zamach, Allende zginął, władzę objął generał Pinochet. Nastąpiły masowe aresztowania. Wiele osób z tej przebywającej w Polsce delegacji także uległo represjom. Kierownika tej chilijskiej delegacji widziano na, wiele razy wymienianym w podawanych wiadomościach, stadionie w Santiago de Chile. Jak wiadomo wiele z tych osób, które znalazły się na tamtym stadionie nie przeżyło.

Po objęciu w Chile władzy przez Pinocheta, budowana przez Kopex kopalnia rudy żelaza została zatrzymana. Nasi specjaliści zostali internowani. Przez krótki czas przetrzymywani byli w bardzo surowych warunkach, lecz szybko, w wyniku działania naszych władz konsularnych, zostali stamtąd wywiezieni i bezpiecznie powrócili do kraju. Jednakże nie było możliwości wywiezienia stamtąd naszego sprzętu. W wyniku naszych poszukiwań potencjalnego nabywcy, który miałby dostęp do tego kraju, znaleźliśmy firmę, która wyraziła zgodę na przejęcie pozostawionych tam naszych maszyn i urządzeń. Odpowiedni kontrakt został zawarty z indyjską firmą TISCO (Tata Iron Steel Co.). W tym celu razem z dyrektorem handlowym Jerzym Stasiakiem udaliśmy się do Hagi, gdzie w marcu 1974 roku ostatecznie sprawa chilijska została sfinalizowana.

Nasze kontakty z Chile zostały na wiele lat przerwane i wznowiono je dopiero po odejściu Pinocheta. Ponowne nawiązanie kontaktów handlowych rozpoczęliśmy od naszego udziału w Targach Przemysłowych organizowanych w Santiago de Chile w październiku 1991 roku. Ponownie miałem okazję, lecąc do Santiago de Chile i przelatując nad Rio de Janeiro - o czym pilot informował pasażerów - oglądać pomnik Chrystusa Odkupiciela w Brazylii, a następnie, przelatując nad pustynnym płaskowyżem *Nazka*, pooglądać system linii, które przypominają kształtem zwierzęta lub figury geometryczne, będących dziełem kultury *Nazka*. Braliśmy wówczas udział w Międzynarodowych Targach Przemysłowych, poszukując nowych rynków zbytu na produkowane w Polsce maszyny i usługi górnicze. Istniały również możliwości zaangażowania się w górnictwo miedziowe w Chile, do czego zachęcali przedstawiciele polonii chilijskiej. Ale w grę wchodziło zaangażowanie własnego kapitału, do czego Kopex nie był jeszcze gotowy.